

Przegląd Wileński

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KRAJOWYM

REDAKCJA I ADMINISTRACJA:

Wilno, Sierakowskiego № 21 m. 6.
Czynne od g. 12—2 prócz świąt.

CENA OGŁOSZEŃ: $\frac{1}{1}$ strona — 80 zł.
 $\frac{1}{2}$ " — 40 "
 $\frac{1}{4}$ " — 20 "
 $\frac{1}{8}$ " — 10 "

Prenumerata kwartalna wynosi 1 zł. 50 gr.

Na rozdrożu.

„Jezus jeśli chce wrócić między śmiertelnych, niech wraca dziś. Nie aby głosić pokój, lecz aby głosić wojnę wojnie, imperjalizmowi, światu wyzysku i obłudy. Tego zapewne chcieli wilanianie”.

Takiej tendencji dopatruje się warszawski sanacyjno-radykalny „Przełom” w głośnych od niedawna wystąpieniach wileńskiej grupy młodzieży akademickiej, zwanej „żagarystami”. Charakterystyka dosadna i bodaj całkiem trafna. Nie ulega wątpliwości, że myśl chrześcijańska a w pierwszym rzędzie katolicka coraz ostrzej staje przed nowymi zagadnieniami ewolucji ustroju społecznego. Oczywiście nie dlatego, że kilku młodych inteligentów w Wilnie chciałoby nagiąć katolicyzm do radykalizmu społecznego. To poszukiwanie nowych dróg przez młodzież wileńską jest tylko drobnym epizodem. Znacznie wcześniej i w kołach najbardziej miarodajnych, bo pośród wybitnych duchownych katolickich zaczęto rozumieć, że nowy ustrój społeczny i doktryna katolicka coraz bardziej tracą styczność ze sobą i z niepokojem poczęto poszukiwać uzgodnienia taktyki Kościoła z nowymi prądami socjalnymi.

Religia dzięki oparciu na niewzruszonych dogmatach nie jest elastyczną w przystosowaniu się do nowych warunków. Zawrotne tempo przeobrażeń życia współczesnego uczyniło radykalną encyklikę Leona XIII Rerum Novarum anachroniczną. Ruch robotniczy ją zrodził a następnie przelicytował. Wpływ katolicyzmu na umysły dzisiejszych mas, mas decydujących o przeobrażeniu świata — to kwestja zdecydowanego ustosunkowania się jego przedewszystkiem do kolektywnych form władania. Negacja własności prywatnej zasadniczo nie koliduje z ewangelją, natomiast w ruchu młodzieży nazywa-

jącej siebie katolicką, zwalczanie zasady pokoju—jak to odnajduje „Przełom”, — jest kategorycznym zaprzeczeniem chrześcijaństwa. Wileńscy „komunizujący chrześcijanie”, zdaje się, narazie nie wystąpili wyraźnie przeciw Chrystusowemu hasłu „pokój wam”, lecz z dotychczasowych ich wynurzeń do takiego wniosku dojść można. Ta mieszanina pojęć katolicyzmu i komunizmu jest bądź co bądź na nasze czasy wielce znamienne i nie zaszkodzi rzucić okiem na te osobliwe warunki, sprzyjające poszukiwaniu nowych dróg w dzisiejszym okresie ustrojowych, ekonomicznych i ideologicznych kryzysów.

Świat kapitalistyczny kona. Nieograniczone koncentrowanie dóbr materialnych w ręku jednostki, przy pomocy imponującego pochodzącego maszyny, musiało ostatecznie doprowadzić do punktu kulminacyjnego w zatargu kapitału z pracą. Wyniki wojny światowej przyspieszyły pogłębienie konfliktu i na olbrzymich obszarach b. imperjum rosyjskiego po długich teoretycznych dociekaniach przystąpiono do bolesnej wiwisekcji nad przeprowadzeniem nowego całkiem odmiennego ustroju społecznego. Potrwa to miesiąc, dwa—twierdzili nawet wybitni socjologowie i politycy, rozumujący dawnymi kategorjami. Ale zawiedli się. Bolszewizm, jednocześnie popierany i zwalczany przez geszefciarski kapitalizm, nie tylko zdołał obronić się, ale ceną nadludzkich ofiar, ceną wyrzeczenia się dobrobytu na dzień dzisiejszy—począł pracować dla przyszłości. Żle odżywiany i źle odziany chłop i robotnik sowiecki został jednak wciągnięty w wir twórczej pracy. W wyniku tego stoimy dziś przed faktem gigantycznych planów rozbudowy gospodarczej i militarnej unji sowieckiej, planów już w wielkiej mierze zrealizowanych. Można dziś ze zgrozą mówić o terrorze władz za czerwonym kordonem, można tam stale konstatować stały brak najniezbędniejszych rzeczy potrzebnych do życia codziennego, lecz z drugiej strony trzeba stwier-

dzie sprężystą planową organizację pracy, kult dla niej i zrozumienie konieczności ofiar. Planowość sowiecka przewidziała i obecne swoje braki w ekonomice, lecz wyzyskała je jako czynnik porywający do walki z przeciwnościami. Praca zawrzała i przy tej pracy—rzecz charakterystyczna—każdy kto chciał czy nie chciał znalazł miejsce.

Obecnie, gdy brukowe pisma bawią masy drwinami z raju sowieckiego, nawet zawzięci wrogowie bolszewizmu poczynają z przerażeniem stwierdzać, że czas pracuje dla niego.

A tymczasem w Europie Zachodniej i w Ameryce ciężkie chmury ołowiane z dnia na dzień zgęszczają się. Śmiertelnie chory kapitalizm prywatny kurczowo trzyma się deski ratunku — instytucji nieograniczonej własności prywatnej. Chciałby wciąż produkować, ale niema komu sprzedawać. Stary świat trawiony nędzą i bezrobociem doszedł do absurdalnych sprzeczności ustrojowych i próbuje nieśmiało ustawiać barykady przeciwko niebezpieczeństwu komunistycznemu. Jedni świadomie, drudzy nieświadomie stają na barykady po stronie zmaszynowanego smoka kapitalistycznego, by zwalczać zuchwałych nowatorów i ratować swoje fortuny, inni młodzi i bardziej przewidujący a odrzucający materialistyczny pogląd na świat, nie mając nic do stracenia poszukują „trzeciej strony barykady”. Pragną oni walczyć z niesprawiedliwością ustroju kapitalistycznego i jednocześnie z materializmem socjalistycznym. Sowiety zaimponowały, wzmocniły wiarę w możliwość nowej ekonomiki, opartej na zasadach kolektywnych, lecz z drugiej strony walka Sowietów z religią, bezwzględny terror zrażają tych poszukujących nowej prawdy. Chcą oni walczyć w imię nieokreślonej bliżej symbiozy starego ustroju z nowym, łączenia komunizmu z katolicyzmem, dyktatury z demokracją, kosmopolityzmu z nacjonalizmem i t.d. Istna wieża Babel.

Hasła II Międzynarodówki nie znajdują zwolenników pośród tej myślącej młodzieży. Zapatrują się na nie jako na surogat sowieckiego komunizmu, surogat różniący się od tego ostatniego, przede wszystkim tem, że jest opanowany przez gadatliwych, ale bezczynnych inteligentów. Dzisiejsza rola II Międzynarodówki spełza do roli odtrutki przeciwko komunizmowi. Tak jest przynajmniej w Polsce i dlatego socjalizm tego rodzaju traci siłę atrakcyjną a miejsce jego na barykadach jest coraz mniej określone i coraz bardziej chwiejne. W każdym razie niczem zaimponować naszym nowatorom nie zdoła, już choćby dlatego, że w swych założeniach materialistycznych nie różni się od sowieckiego komunizmu.

A więc nie pozostaje młodym nic innego, jak poszukiwanie nowych dróg. Pozostaje rzucać nowe hasła choćby w gronie młodzieży akademickiej.

Jednolitości, jakiejś sprecyzowanej ideologii u „nowych katolików” z pośród lewicowo-radykalnej młodzieży U. S. B. oczywiście szukać nie podobna. Są tam prawowierni katolicy godzący katolicyzm z nowymi doktrynami ustrojowymi, są tam również i to może najliczniejsi, utylitaryści polityczni, którzy pod płaszczem katolicyzmu nawpółświadomie przygotowują grunt dla zwycięskiego pochodu myśli komunistycznej, myśli u nas wyklętej i zagnanej w podziemia. Nie jest to komunizm III Międzynarodówki, nie jest to żaden sowietyzm. Błogosławieństwa ze Wschodu ci panowie napewno nie otrzymają, zresztą do tego nie dążą. Taki komunizm, przepojony kadzidłem kościelnym, czy też, jeśli kto chce, katolicyzm okraszony na czerwono, jest tylko produktem tragedji duszy człowieka, miotającego się w wysiłku pogodzenia pojęć, będących dotychczas ze sobą na stopie wojennej.

Nie zanoszą się na to, by grupka młodzieży akademickiej zdołała stworzyć jakiś poważny ruch na tak ryzykownym i niepewnym gruncie. Jest to za-

S. KAPNYS.

Człowiek bez twarzy.

Przełożył z litewskiego W. Zaleski.

II.

Członek komitetu partji Wasylauskas, zmarszczywszy brwi, stara się przypomnieć sobie niezbyt dawno minione czasy—ławę szkolną. Między nazwiskami kandydatów na członków partji figurowało nazwisko Jonajtisa. Jonajtis, oprócz innych faktów, wspominał, iż razem z Wasylauskasem uczył się w gimnazjum i należał do kółka akademickiego. W głowie Wasylauskasa mieszały się nazwiska — Jonajtis, Petrajtis, Pranajtis — zwyczajne, choć słyszane, lecz nic nie mówiące, niewywołujące obrazów przeszłości, nieprzypominające wyraźnych epizodów. Jeszcze bardziej naprężył pamięć i w końcu wzmógł w sobie, że naprawdę Jonajtis uczył się z nim

w jednej klasie. Nigdy nic złego o nim nie słyszał. Lecz i nic dobrego nie mógłby o nim powiedzieć. Zapomniał o jednej okoliczności: cała klasa korzystała z matematycznych zdolności Jonajtisa, — każdemu on pomagał. Czynił to on chętnie, z łatwością, bez szczególnych próśb i pochwał; byłoby bardzo trudno przypomnieć sobie taką zwyczajną rzecz. Czy kto przypomniał sobie tablicę szkolną, której codzień używał — pisał na niej algebraiczne formuły, wiersze humorystyczne, malował karykatury swych nauczycieli? Chyba tylko ten, który często za karę stał przy niej. Studenta Jonajtisa już lepiej pamięta. Był to cichy, skromny, zawsze pozostający w cieniu młodzieniec, sumienny, akuratywny, starannie wypełniający polecane mu skromne, oczywiście, prace. Czy takim samym był i w gimnazjum, niewiadomo. Jakim on był z powierzchowności, blondynem czy brunetem, — nie zauważył.

Atestując Jonajtisa, Wasylauskas oświadczył sekretarzowi:

— Ja się z nim uczyłem. Należał do naszego

miar, jak się zdaje, ponad ich siły i może mieć tylko tę stronę dodatnią, że zwróci uwagę katolickich kół miarodajnych na potrzebę wzmocnienia ruchu religijnego zgodnie z nowymi prądami społecznymi i obrania nowej taktyki.

W prasie wileńskiej ukazała się niedawno nieprawdopodobnie brzmiąca wiadomość o zamierzonej akcji przesiedlenia z Poznańskiego do Wileńszczyzny zgórą 1000 bezrobotnych rzemieślników. Pisma wileńskie pochłonięte wizytą Żwirki, przestały na suchem zanotowaniu tej wiadomości, nie podając bliższych szczegółów i uzupełniając ją jedynie informacją o solidarnym proteście, uchwalonym w d. 2 b. m. przez Wileńską Izbę Rzemieślniczą.

Nie posiadając na razie źródłowych danych, nie możemy objaśnić, czy i o ile ten monstrualny projekt zasługuje na poważne traktowanie. W każdym razie ta okoliczność, że nad projektem debatowało plenum Izby Rzemieślniczej i że protest został skierowany do ministerstwa opieki społecznej w Warszawie, nie pozwala przejść nad nim do porządku dziennego, jako nad humorystycznym konceptem.

Charakterystyczna wątpliwość.

Czy powinni ziemianie przyczyniać się do szerzenia oświaty i kultury pośród chłopów?

Z takim pytaniem zwrócono się do ziemian, zamieszkujących jeden z powiatów b. Kongresówki.

Ponieważ pytanie to skierowane w formie ankiety pochodzi nie od jednostki, tylko od grupy ludzi stanowiących elitę ziemiaństwa i stojących prawdopodobnie na czele organizacji klasy ziemiańskiej — nic dziwnego, że kwestja ta odbiła się głośnym echem w prasie. Rozmaicie ją sobie komentowano. Tu i ówdzie rozległy się głosy oburzenia, lecz naogół niezbyt łamano sobie głowę nad powodami, które wywołały to, bądź co bądź, niezwykle pytanie. Niestety, sami inicjatorzy ankiety narazie nie zdradzili się z tajemnicą, dlaczego im tak zależy na powyższej kwestji. Można więc nad jej genezę

kółka. Jego charakteru i zdolności nie znam.—Lecz skądś nagle nabrawszy pewności, dodał: człowiek pewny, godzien zaufania.

Zupełnie naturalnie, jakoś samo przez się stało, iż całą t. zw. techniczną pracę — ciężką, mozolną, wymagającą cierpliwości, wytrzymałości i poświęcenia, niebezpieczną, niewdzięczną, szarą, codzienną, wziął na siebie Jonajtis. Oczy wszystkich aktywniejszych członków partji tak przywykły do widoku Jonajtisa, cicho się przesuwał, jakoś osobliwie bezbarwnie odzianego, zawsze czemś zajętego, że nie zwracano nań uwagi, jak na jakieś narzędzie, mebel, czy też wiszący na ścianie portret głównego uczonego, teoretyka programu partji.

Gdy komukolwiek były potrzebne dokładne informacje, wyjaśnienia, dotyczące drobnych spraw praktycznych, pomoc, wskazówki, każdy doradzał:

— Zwróć się do Jana, on powie...

Albo:

— Ja wszystkich szczegółów nie znam. To leży w kompetencji Jana.

snuć tylko domysły, analizując dzisiejsze oblicze ideowe posiadaczy większej własności ziemskiej.

Porównując życie ziemianina dziś i przed wojną światową, nie trudno dostrzec głębokie przeobrażenia, wraz ze zmianą władz państwowych, w charakterze dworu szlacheckiego. Pod zaborem rosyjskim miało ziemiaństwo dużo niezaspokojonych pragnień o charakterze ideowym. Nie ulegało rusyfikacji, żyło pogrążone w przeszłości, w atmosferze bohaterkich czynów przodków i królewskich tradycji. Tęsknota do romantycznej przeszłości, przesadnie opiewana w literaturze polskiej, nie oznaczała jednak, że działo się obszarnikom źle. Rządy rosyjskie szanowały w ziemiaństwie polskim jego konserwatyzm, który pokrywał do pewnego stopnia różnice wyznaniowe i narodowościowe ze szlachtą rosyjską. Oddzielone od wsi przepaścią różnic stanowych, majątkowych, kulturalnych, a na ziemiach białorusko-litewskich bardzo często odmienną religją i narodowością, czuło się ziemiaństwo polskie pod zaborem rosyjskim jak u Pana Boga za piecem. Młodzież ziemiańska pod wpływem ducha czasu, hołdowała niekiedy hasłom liberalnym a nawet rewolucyjnym, lecz gdy powracała do domów rodzinnych, lub zajmowała później intratne posady, cały swój sentyment do przeobrażania świata, do pracy wśród ludu usprawiedliwiała niedoświadczeniem i porywami młodości. Nowe pokolenia ziemian zamykały się w swoim ciasnym światku i poza wynajmem roboczych rąk ze wsi nic a nic z nią wspólnego nie miały. Ciemnota i bieda wsi niewiele kogo obchodziła, rozumiano bowiem, iż w ustroju współczesnym, im gorzej się dzieje wyzyskiwanej większości, tem lepiej się powodzi wybranej mniejszości.

Ale były i wyjątki. Zdarzało się nieraz, że niejedna pobożna paniusia dopomogła synowi chłopskiemu wykierować się na księdza, a nawet zdarzały się wypadki założenia polskiej szkółki konspiracyjnej. Robiono to zresztą z wielu pobudek. Jedni przez patriotyzm polski, drudzy pragnęli uchodzić za filantropów i dobrodziejów. Wyjątki te jednak były tak rzadkie, że mówić dziś jakoby ogół ziemjański u nas szerzył oświatę, jest rzeczą conajmniej ryzykowną. Można natomiast z większym powodzeniem twierdzić, że w wielu domach polskich oświatę uważano

Wódz partji — gorący, żywy, pełen niecierpliwości, umiejący prawie wszędzie być o tym samym czasie, zdolny mówca, bardzo popularny, swemi ognistymi słowami wzruszający aż do łez tłumy — bardzo często, śpiesząc się gdzieś, wkładając palto rzucał Jonajtisowi wskazówki:

— Trzeba zredagować odezwę i jeszcze dziś w nocy porzucić po mieście. Podkreślić obłudę cara, niedotrzymywanie obietnic... Wezwać robotników do niepoddawania się czarnosecińskim namowom. Zalecić im trzymać się solidarnie w jedności, nie bać się, jeżeli będą grozić represjami, słowem — wiesz... Ja jeszcze wbiegnę, przeczytam... Potem, licho wie, co się tam dzieje w X grupie. Głupio skompromitowali się, umaczali ręce, naplątali. Zbadaj, kto tam się poślizgnął i, jak można, popraw. My jeszcze coś uradzimy... O mało nie zapomniałem: grupa Iwońskiego szykuje się do demonstracji. To napewno czemś niedobrem pachnie. Trzeba dać dyrektywy naszym członkom, by nie wleźli do tej brudnej kaszy... Ah, mam pewne podejrzenia, że

za pewien przywilej, którego nie należy pospolitować. Znam jednego proboszcza na Wołyniu, który był w dzieciństwie posługaczem w pewnym dworze wiejskim, a wybił się później o własnych siłach. Opowiadał on, iż obcując z dziećmi właściciela dóbr, czuł się bardzo upośledzonym nie rozumiejąc języka francuskiego, którym to dzieci i starsi stale posługiwali się. Począł więc pokryjomu notować niezrozumiałe słówka, aż wreszcie, ku zdumieniu i oburzeniu całej rodziny, posługacz wniósł się w rozmowę z dziećmi, klejąc od biedy zdania w języku francuskim. Spotkała go za to niespodziewana kara. Zabroniono mu zapisywać dalej francuskie słowa, a dzieciom surowo zakazano wdawać się z posługaczem w jakąkolwiek rozmowę. Nie był to wypadek odosobniony i mógłbym przytoczyć nie mało podobnych. Wieś i dwór już oddawna były to dwa odrębne, nawzajem wykluczające się światy. Kontakt tych światów symbolizowało najdosadniej tylko całowanie ręki pana dziedzica przez chłopów.

Katakлизм dziejowy z przed kilkunastu laty odłonił oczom ziemian rzeczy przedtem nieznaną, nierozumianą. Dowiedzieli się oni, iż ta zahukana a spokojna wieś potrafi burzyć się, być mściwa i zachowywać się bez respektu wobec „państwa”. Dowiedzieli się, że na świecie niema niczego stałego, nawet prawo własności zostało zachwiane i, mimo sprzyjających koniunktur politycznych, grunt zaczął im usuwać się z pod nóg w dosłownym prawie tego słowa znaczeniu. Poza to konstytucja polska przyniosła same niespodzianki: anulowała tytuły rodowe i przywileje stanowe — zrównała pana z chłopem. Klęska na całej linii. Wymarzona niepodległość państwowa nie jest w stanie zapobiec rozczarowaniu i tęsknocie do „starych dobrych czasów”. Poczucie „krzywdy” zacieśniło solidarność klasową, i nieliczne próby poczynań demokratycznych, próby współpracy z masami wiejskimi, okrzyczano jako odstępstwo i zdradę. Syn ziemianina, który ośmielił się stanąć otwarcie w obronie ludu i krytycznie ustosunkował się do izolowanej szlachetczyzny — został odsądzony przez swoich od czci i wiary jako renegat.

Widząc smutny zmierzch a nawet całkowitą likwidację klasy ziemiańskiej w państwach ościennych, nasi ziemianie poczuli mobilizować swoje siły. Za-

warli w Dzikowie i Nieświeżu sojusz z sanacją. Uratowali tym manewrem na czas pewien swoją zachowaną pozycję, ale czy na długo? Procesy ekonomiczno-społeczne są silniejsze od wszelkich kombinacji i wybiegów taktycznych.

A chłopci tymczasem cierpliwie czekają, kiedy to ich głód ziemi zostanie zaspokojony, a reforma rolna przestanie być uchwałą papierową. W tych warunkach trudno dziś mówić o jakiejś harmonii pomiędzy dworem a wsią. Żadna frazeologia nie zdoła ukryć walki o władanie ziemią. W obecnych warunkach niewątpliwą przewagą ma ten, kto własnoręcznie na niej pracuje. Inaczej rola nie daje zysku. Poza to chłop po otrzymaniu wykształcenia, konkuruje już z synem ziemianina przy zajmowaniu stanowisk w urzędach i wolnych zawodach.

Tem się tłumaczy ów gest rozpacz, jakiern jest pytanie, czy należy popierać oświatę wśród ludu? Oznacza on bojkot przeciwnika, oznacza on odmowę popierania i uzbrajania orężem wiedzy tego, który tę wiedzę w mniemaniu obszarników skieruje przeciwko ich klasie przedewszystkiem przez organizację chłopstwa. Pod tym niecałkiem etycznym wyskokiem grupy ziemianstwa należy rozumieć nie tyle kwestję oświaty, ile kwestję wzmocnienia samobrony w procesie topniejącego stanu posiadania ziemian na korzyść chłopów a przynajmniej zahamowanie szybkiego jego tempa.

Nie można jednak wszystkim obszarnikom mierzyć jedną miarą. Należy tu zrobić przedewszystkiem niewielki podział „terytorjalny”.

Ziemianie t. zw. „kresowi” są wolni od zarzutu, że wahają się szerzyć oświatę, ponieważ ankiet w tym przedmiocie nie organizują. I bez ankiety wiadomo im dobrze, że tego czynić nie należy. Żadnych wątpliwości dla nich tu niema.

Zresztą co mają robić? Polonizację zmonopolizowało państwo i Kościół, i tu ziemianie występują tylko w razie doraźnej potrzeby, a na szerzenie kultury rolnej brak chęci, środków a przedewszystkiem wiedzy, popierać zaś ruchy narodowościowe ziemianstwo na ziemiach litewsko-białoruskich uważa wprost za przestępstwo. Niedosć tego: gorliwie je zwalczą i w tym kierunku inspiruje czynniki rządzące. Nikt tak nie paraliżował wprowadzenia języka białoru-

Komarowski jest prowokatorem. Już nieraz można było zauważyć jego obłudę i głupie aż do absurdu, lecz niewywołujące żadnych następstw postępków. Trzeba się przekonać. Zrób to ostrożnie, by nawet pies nie zwąchał...

Nie było wypadku, by Jan kogoś zawiódł, by nie wypełnił zadanej mu pracy. Jak mu się udawało realizować ryzykowne plany, przedrzeć się przez zgraję szpiegów i prowokatorów, sucho przebrnąć piekielne trzęsawiska szpiegowskie, które otaczały wciąż rosnącą partję — to było tajemnicą Jonajtisa. Jak znajdował czas na wszystko, jak potrafił unieść wszystko na swych barkach, tylko on jeden wiedział.

Jego tajemnica — to najwycyżniejsza, niepociążająca wroko skrzynka, której zawartości nikt nie zna dlatego, iż nikt nie raczy jej otworzyć i zobaczyć, co tam jest w środku. Gdy człowiek spokojnie, jakgdyby obojętnie konstatując fakt, komunikuje, iż wszystko załatwione należycie, to jasnym jest, iż to jest najprostszą, wymagającą może trochę wprawy, techni-

czna praca, której większej uwagi poświęcać niewarto.

I na co potrzebna ta uwaga, jeżeli aparat działa, kręci się, szybko, dobrze, bez skrzywienia? Odezwa napisana. Drobną, równą, wyraźną literą. Styl — bez zarzutu; elastyczny, odpowiada wymaganiom: w jednym miejscu patetyczny, rozrzucający, ognisty, w innym — pełen ostrego, zjadliwego sarkazmu, tu znowu ze słów tryska humor, wesołość piosenki ulicznej i dowcip. Prezes czyta i kiwa głową: właśnie tak onby sam napisał. W grupie X nie tak zrozumieli instrukcję. Małe nieporozumienie już zlikwidowane. Od ciosu posypały się naprawdę drzazgi, lecz szkodę naprawić można, praca prawie nie ucierpiała. Dyrektywy dane. Komarowski — prowokator. Bardzo zły stan spraw osobistych i romantyczna historia wepchnęły go do grona Judaszów. Lecz był już zawczasu śledzony i w porę izolowany — do ważniejszych spraw niedopuszczano go już od dłuższego czasu. Dają mu jeszcze dziecięce zabawki, pozwalając się niemi bawić, by nie odgadł, iż jego rola już oddawna jest znana.

skiego do kościoła w Żodziszkach, Zaświrzu i in. jak miejscowi obszarnicy. W środkach nigdy nie przebiali: pisali donosy na księży do policji, sprowadzali ją do kościołów, nie pogardzali najnikczemniejszymi intrygami. A im był drobniejszy, niekulturalniejszy i zdradzający pochodzenie niepolskie — tem większą taki panek odznaczał się zaciętością.

— Dlaczego pan sobie nie odbuduje w majątku domu mieszkalnego? — pytałem niedawno pewnego bogatego ziemianina w Wileńszczyźnie.

— Nie buduję, bo nie życzę sobie by dom mój służył później jako szkoła białoruska — usłyszałem odpowiedź. Znajac liberalne poglądy, tolerancyjność i wyższe wykształcenie tego pana, byłem wprost zdumiony odpowiedzią. Świadczyła ona nie tylko o negatywnym stosunku do potrzeb narodowych Białorusinów, ale również o jego przekonaniu, że wywłaszczenie przymusowe i państwowość białoruska są nieuniknioną koniecznością, skoro bez zgody właściciela ma być dom jego zabrany na szkołę.

Przepaść dzieląca wieś od dworu jest znacznie głębsza w naszym kraju niż na terenach b. Kongresówki. Tradycje pańszczyżniane na wsi co raz bardziej wygasają. Zależność od dworu z dniem każdym maleje. Chłop białoruski czy litewski wyniszczony gospodarczo, lecz powoli uświadamiający się klasowo i narodowościowo coraz bardziej czuje swą siłę. Dzięki niezwykłemu przyrostowi i niemożności emigracji, instynktownie zagarnia w swoje ręce co raz nowe obszary. A tymczasem stan posiadania ziemiaństwa kurczy się. Dzięki niskim cenom na produkty rolne, majątek ziemski przestał być warsztatem dochodowym. Prawda, ziemianie górują nad chłopami intelektem, solidarnością, zwartością organizacyjną, środkami pieniężnymi. Wszystko to im daje narazie wpływ na politykę państwową, chroniącą ich od losu obszarników, powiedzmy w Litwie i Łotwie. Wszystko to jednak może katastrofę olbrzymich warsztatów rolnych tylko odwlec, ale jej nie zapobiegnie. Czas pracuje dla chłopów.

To też, lepiejby było gdyby ziemianie, szczególnie w naszym kraju, w interesie własnym poddali gruntownej rewizji swój stosunek do mas chłopskich. Możeby w wyniku tej rewizji okazało się, że przeżyte formy życia, izolujące wieś od dworu i pogłę-

biające nienawiść pomiędzy nimi, są szkodliwe nie tyle dla chłopów, ile dla ziemian. Wtedy by zrozumiano, że zwalczanie języka ojczystego budzących się narodów, narówni z innymi błędami, może w przyszłości straszliwie pomścić się.

A po tej rewizji, w zdrowej atmosferze na pytanie o potrzebie popierania wśród ludu oświaty, — miejsca już nie będzie.

Al. S.

Z mego notatnika.

O b ł u d a .

Korespondent wileński „Robotnika” piętnuje obłudę obozu sanacyjnego, stosowaną przezeń w polityce narodowościowej, przytaczając jako dowód stosunek władz szkolnych do gimnazjum białoruskiego w Wilnie, utrzymywanego w latach poprzednich ofiarnością społeczeństwa białoruskiego i pomocą finansową z funduszy państwowych.

Kuratorjum — informuje korespondent — cofnęło pomoc finansową i nie zatwierdziło proponowanego przez Komitet Rodzicielski kandydata na dyrektora, a wskutek braku dyrektora nie zatwierdziło listy nauczycieli. Jednocześnie zaś naznaczono eksmisję z zajmowanego przez gimnazjum lokalu, nie proponując żadnego innego wzamian. Tak rzecz wyglądała w dniu 1 września, kiedy paręset dzieci zjechało się na rozpoczęcie roku szkolnego.

„Ma to być — dodaje korespondent — prawdopodobnie taktyka „uduszenia” tego gimnazjum białoruskiego w sidłach własnej niemocy finansowej i technicznej, sztucznie powiększanej. Mówi się komuś „pływaj!”, poczem odbiera się mu pas ratunkowy i w dodatku zalewa mu się oczy i usta strumieniami wody; a przecie ten „ktoś” dopiero uczy się pływać samodzielnie.

„Wszyscy ludzie w Polsce, którzy brali kiedyś udział w walce o szkołę polską, muszą mieć jednakoową ocenę takiej „taktyki”, takiej metody postępowania. Jest to wykonywanie planu narodowości-

— Dobrze, naradzimy się jeszcze. A teraz trzeba jaknajprędzej wydrukować tę odezwę.

Mieszkanie lisa, otoczone różnemi wyjściami i norami, wprowadzającemi w błąd myśliwego, jest niczem w porównaniu do schematu tajnej drukarni partyjnej. Ulokowana w podziemiu, broniona przez drzwi, drzwiczki, tajne przejścia, automatycznie działające dzwonki, zabezpieczona zapasowemi wyjściami była ona dostępną tylko dla Jonajtisa i jeszcze kilku bardzo zaufanych członków partji. Nikt więcej nie znał miejsca, w którym była ukryta.

Noce całe Jonajtis spędzał na składaniu czcionek, smarowaniu, kręceniu koła ręcznej prasy, przygotowywaniu proklamacyj, które, jak rozpalone igły, kłując w stopy, zmuszały do tańca carskich żandarmów. Po wydrukowaniu układał je w paki i sam włókł do bezpiecznego miejsca, odległego od drukarni, by nikt nawet domyślić się nie mógł, skąd je przywieziono. Zręczne ręce rozsiewały je po całej okolicy, po kraju całym.

Zrana wszystkie płoty i ściany pstrzyły się róż-

nokolorowemi papierami. Zmiany robotników przychodziły do fabryki i już otrzymywały spadek. Z rąk do rąk przechodziły pogniecione, zabrudzone, chciwie, ukradkiem czytane odezwy.

Mrowie żandarmów i szpiegów, syjąc przekleństwami naprawo i nalewo, napróżno rozbiegało się po mieście, napróżno się starało, bo ptaszek tylko pióra ze swego ogona pozostawiał. Czyść zębami, jeśli chcesz, słupy, skrob płoty i ściany, nic nie pomoże — cel już osiągnięty. Komu trzeba było, każdy przeczytał. Niekiedy gapie uliczni aż pokładali się ze śmiechu, gdy gruby, brzuchaty żandarm o czerwono-sinej twarzy, starał się wleźć na płot, by dosięgnąć papieru, z koloru swego tak bardzo podobnego do jego twarzy.

Współideowcy, którzy codzień widywali Jonajtisa, nie wiedzieli, jakie on ma gusty, skłonności i nawet z czego żyje, czem się żywi. Gdyby ktoś ich o to spytał, to tylko wzruszyliby ramionami, a przecież on musiał gdzieś pracować, mieć stały zarobek. Partja nietylko nic mu nie płaciła, lecz od

wego obozu nacjonalistycznego środkami, którychby się narodowa demokracja wstydziła. Gdy zaś rzucić tę praktykę na tło teoretycznych artykułów „sanacyjnego” „Kurjera Wileńskiego”, rozpisującego się o „zgodnem współżyciu narodów” i t. p., milczącego zaś o tem, co zachodzi u niego tuż pod samym nosem,—to będziemy mieli obraz całkowitej postawy moralnej obozu „sanacyjnego” wobec problemu,—który zaważy w przyszłości na losach Rzeczypospolitej.

Niepodobna sobie wyobrazić większego kłamstwa wewnętrznego”.

Do słów powyższych korespondenta od siebie dodać możemy, że dzieje się to wszystko w rocznicę tragicznego zgonu T. Hołówki, w chwili uroczystej stawiania mu nagrobka z udziałem przedstawicieli rządu i wypisywania przez pisma prorządowe panegiryków na cześć programu narodowościowego zmarłego.

We wspomnianym „Kurjerze Wileńskim” p. St. J. Paprocki cytuje następujące słowa ś. p. T. Hołówki: „Musimy ustosunkować się z całą życzliwością do kulturalnego, narodowego ruchu białoruskiego. To wszystko, co ma na celu pielęgnowanie i rozwój białoruskiej mowy, historii, literatury, etnografii, sztuki ludowej — winno ze strony państwa polskiego być otoczone życzliwą i wydatną pomocą” i w końcu artykułu pisze: „To też nie może być właściwszego, nie może być poważniejszego uczczenia świetlanej pamięci gorącego i ofiarnego patrioty..., jak przez wytrwałę, konsekwentne realizowanie jego testamentu politycznego na polu tak ważnych dla przyszłości Rzpltej zagadnień narodowościowych...”

Ładna realizacja!

Co prawda drugie prorządowe pismo wileńskie określa T. Hołówkę, jako „polskiego imperjalistę”, który wobec mniejszości narodowych może stosować taką lub inną politykę, „nie przestając ich kochać” (!); być może więc obecne czynniki decydujące pojmują program zmarłego polityką zgodnie z interpretacją „Słowa” t. j. kochają Białorusinów, ale postępują z nimi surowo i swój sentyment trzymają krótko na wodzy... Tak lub inaczej zarzut obłudy pozostaje całkowicie uzasadniony. Licz.

Krakowska geografja.

Niedawno informowaliśmy naszych czytelników, jakto „Il. Kurjer Krakowski” unicestwił Białorusinów i Litwinów przy pomocy mapy, która wskazywała, że Mazurzy zamieszkują zwartą masą Wileńszczyznę i Nowogródzczyznę. Teraz znowu tenże kurjerek z dnia 3-IX obdarzył swoich czytelników niebyłym odkryciem. W artykuliku „Wycieczka do ziemi Mickiewicza” czytamy:

Wycieczka do Wilna była przeprowadzona pod patronatem Komitetu Propagandy Turystyki przy Dyrekcji Okręgowej Kolei Państwowych w Warszawie w porozumieniu z Polskiem Towarzystwem Krajoznawczem, oraz Żydowskiem Towarzystwem Krajoznawczem.

Techniczną stronę wycieczki ze zwykłą sobie sprawnością i sprężystością przeprowadziło Polskie Biuro Podróży „Orbis”.

Wielka grupa wycieczkowiczów, wyosząca 165 osób przeżyła trzy dni wycieczki w pełni ciekawych i uroczych wrażeń, program obfitował bowiem w atrakcje i momenty pierwszorzędne.

Przedewszystkiem zwiedzono naszą stolicę kresową, Wilno. Podziwiano rozległą panoramę z Góry Zamkowej, skąd widać, jak na dłoni, przepiękny, „pełen pagórków leśnych” teren Wileńszczyzny, ze srebrnobłękitną wstęgą **Niemna**.

Wycieczkowicze w zbożnym podziwie i zachwycie oglądali wielkie dzieła architektury wileńskiej: Katedrę, Kościół św. Anny, Kościół Bernardynów, Uniwersytet, Kościół św. Piotra na Antokolu i inne.

Ze wzruszeniem oglądano liczne pamiątki Wieszczki Narodu — Mickiewicza.

Zwiedzono również **malownicze Troki na wyspie na jeziorze Trockiem**, a tam — malownicze ruiny zamku Trockiego i ciekawą kenesę karaïmską

Powrócono do Wilna malowniczą drogą przez Ponary, prowadzącą w dolinę Wilji.

Trzeciego dnia wycieczka udała się statkiem **do wielkiego jeziora Werek**, gdzie wycieczkowicze zażywali orzeźwiającej kąpieli i wypoczęli na piaszczystej plaży.

Pogoda dopisała całkowicie, jak gdyby „Orbis” zawarł umowę z P. I. M-em!

Uczestnicy w czasie pożegnalnej kolacji w Wilnie wyrazili organizatorom wycieczki serdeczne podziękowanie za sprężyste przeprowadzenie jej i troskliwą opiekę na terenie Wilna.

A więc: Wilno leży nad Niemnem, Troki są położone na wyspie, a Werki, jak się okazuje, posiadają jezioro. I to nawet wielkie jezioro, z piaszczystą plażą.

A my wilnianie, rzecz znana, ludzie powolni, zanied-

swych członków wymagała jeszcze materialnych ofiar.

Ubranie Jonajtisa nigdy nie kłuło oczu łatami, ani dziurami, nie wołało łachmanami o miłosierdzie ludzkie. Lecz również nikt nie skierowywał do niego słów z pewną domieszką zazdrości, czy też przyjacielskiej uwagi:

— A, sprawiłeś sobie nowy garnitur! Świetnie, świetnie... Bardzo dobrze leży... Ileś zapłacił? Aa... A ja nie mogę, zawsze brakuje pieniędzy...

Może on tylko donaszał już używane ubrania? Niewiadomo.

Nikt nigdy nie słyszał wesołego śmiechu, dowcipnego żartu z ust Jonajtisa. Lekki uśmiech — znak, iż Jonajtis zrozumiał i ocenił dowcip towarzysza. Czemu on się nie śmiał? Niewiadomo.

Tylko wszyscy dobrze wiedzieli, iż Jonajtis jest do pewnego stopnia kasą pożyczkową. Jego uszy już przywykły do wysłuchiwanie takich słów:

— Wiesz, ja już nic nie mam... Zholalem zupełnie... Nawet na obiad nie mam... Pożycz rubla.

Jonajtis zawsze reagował na to banalnym ruchem: wyjmował z kieszeni pieniądze i podawał je proszącemu tak, jakgdyby rozchodziło się o podanie ółwka.

Jonajtis nie był człowiekiem, nie lubiącym ludzi i przyjacielskiej pogawędki. Czasami rozmawiano z nim w przeciągu całych godzin. Jonajtis, oczywiście, brał tylko pasywny udział — słuchał; od czasu do czasu rzucał krótkie słówko. Gorący przyjaciel nie dawał mu wygłosić dłuższego zdania. Gdy zbierało się więcej, niż dwie osoby, to Jonajtis bywał uprzejmym, o cierpliwości krzesła, świadkiem rozmowy.

Dlatego chyba nikt nie starał się wypytywać go o jego przeszłość, nie wdzierał mu się do jego duszy.

(D. C. N.).

bani, nawet tego nie wiedzieliśmy. I nigdy byśmy sami niczego nie doszli, gdyby nie krakowscy odkrywcy.

Wiadomo: cudze chwalimy — swego nie znamy.

Ale żarty na stronę.

Wychodzi w Wilnie niemało czasopism poważniejszych, mniej poważnych i brukowców, niedaleko odbiegających od poziomu krakowskiego kurjerka. Każdemu z tych pism może powinąć się noga i każde z nich może palnąć niejedną niedorzeczność. Można jednak z całą pewnością twierdzić, że Wilno nie ma takiej redakcji, któraby nie wiedziała nad jaką rzeką leży Kraków. Znajomość elementarnej geografii obowiązuje u nas nawet reporterów. Co innego „galileusze”. Im wolno nietylko nic o nas nie wiedzieć, ale nas jeszcze pouczać i uchodzić za kulturerów. Leży to już w zwyczaju ludzi, którym brak najprostszych wiadomości, zastępować je tupetem.

Niewiadomo zresztą kogo w tym wypadku należy posądzać o ignorancję: redakcję czy jej informatorów z „Orbisu”? Niepodobna jednakże przypuścić, by „Orbis”, oprowadzający wycieczkę, złożoną z 155 osób, mógł tak bezczelnie wprowadzić w błąd wycieczkowiczów.

Chyba że składali się oni z samych tylko stałych czytelników krakowskiego kurjerka...

S-wicz.

Monsignore Alojzy Fajdutti.

(Sylwetka przyjaciela Litwy).

Mocno spóźnione poniższe wspomnienie pośmiertne, pióra jednego z naszych sympatyków w Kownie, wędrowało do redakcji niezmiernie długo i odbyło daleką podróż, nim trafiło do rąk naszych. Straciło wprawdzie na aktualności, ale inne swe walory zachowało w pełni.

Żaden dyplomata papieski, pracujący w nuncjaturze apostolskiej w niepodległej Litwie, nie zapisał się tak dobrze w jej dziejach, jak ś. p. msgn. dr. Alojzy Fajdutti, który też w godności protonariusza apostolskiego i prałata domowego Jego Świątobliwości, najdłużej piastował w Kownie urząd audytora tamtejszej nuncjatury apostolskiej, a w końcu od zaprzieszonego roku, charge d'affaires Stolicy Apostolskiej.

Nieboszczyk pochodził z przedwojennej Austrii, czyli, jak mawiano wtedy, z włoskiego Tyrolu, więc gdzieś z okolic Bolzano lub Trentu, dziś już należących do Włoch. Hula tam obecnie faszyzm, stosując nieraz metody wręcz eksterminacyjne względem mniejszości niemieckiej, rozsiadłej wśród ludności włoskiej. Więc niemal od dzieciństwa Fajdutti musiał zetknąć się z zagadnieniami narodowościowymi, będącymi stale w ostrej zapalnej formie, jak przystało na kraj południowy. Ileż to kłopotów przyczyniał nieboszcze Austrii ten spór austriacko-włoski w Tyrolu! Z iście południową żywością wybuchały demonstracje włoskich studentów nietylko w okolicy Tyrolu, lecz nawet w Wiedniu, gdzie na wyższych uczelniach nie brakowało wtedy licznych Włochów, upominających się w stolicy o swe prawa deptane w kraju ojczystym. Młody wykształcony doktor nauk teologicznych Fajdutti gorący brał udział w walce Włochów tyrolskich o prawa narodowe, acz ujmował tę akcję, jako teolog, ściśle w duchu chrześcijańskim.

Tą drogą np. Fajdutti wszedł, długo jeszcze przed wojną wszechświatową, do parlamentu wiedeńskiego i posłował tu około 12 lat, odgrywając w nim wcale poczesną rolę. Jako parlamentarzysta,

poznał on osobiście wszystkich najwybitniejszych polityków ówczesnej Austrii, a z niektórymi wszedł siłą rzeczy w bliższe stosunki. Nie brakło mu też podczas posłowania przez tyle lat sposobności do dość częstych kontaktów osobistych z wybitnymi politykami innych państw, jak Niemcy, Włochy, Węgry..., będących wtedy ogniskami trójprzymierza. Osobiście znany był ces. Franciszkowi Józefowi, z którym nieraz omawiał różne ważne sprawy południowego Tyrolu.

Msgr. Fajdutti był sam wybitnym politykiem. Cechowały go przezorność, roztropność i taktowność, te trzy cnoty prawdziwego dyplomaty. Dlatego właśnie pozyskał on serdeczne sympatje w Litwie i był przychylnie dla Litwy i do Litwinów usposobiony. Nie było jednak w tem ani cienia narzucania się, gonitwy za popularnością. Nawet podczas ciężkiej choroby na raka, gdy leżał w lecznicy SS. Miłosierdzia w Królewcu, już ledwo mógł mówić, jeszcze zapytywał odwiedzających go tutaj gości z Litwy, o to wszystko, co dotyczyło żywotnych spraw Litwy, tak z dziedziny polityki, jak też życia kulturalnego. Pamiętał o każdym znajomym. Tak, dowiedziawszy się od przybyłego doń gościa z Kowna o zgonie ówczesnego prezydenta Kowna ś. p. J. Wokietajtisa, który go tylko na dwa i pół dni wyprzedził swym zgonem, prosił o wyrażenie współczucia bli kim zmarłego.

Nadszedł wreszcie 18 stycznia 1931, kiedy o godz. 3 po poł., na obcej ziemi, bo w Królewcu, Fajdutti zakończył życie ziemskie. Przed śmiercią wyraził życzenie, by jego prochów nie przewożono ani do Rzymu, ani do znanego z piękna przyrody włoskiego Tyrolu, lecz złożono w krypcie starej katedry kowieńskiej, obok względnie niedawnej mogiły ś. p. arcybiskupa Matulewicza, z którym swego czasu harmonijnie a przyjaźnie współpracował.

Zgon msgr. Fajduttiego, skoro tylko stał się wiadomym w Kownie i w całej Litwie, obudził wszędzie wśród katolickiego społeczeństwa litewskiego, uczucia szczerego żalu. Minister spraw zagranicznych w imieniu rządu Litwy i korpus dyplomatyczny w Kownie, którego dziekanem był nieboszczyk, pośpieszyli złożyć wyrazy współczucia w nuncjaturze.

W chwili powtarzających się raz po raz w Litwie zatargów rządu z Watykanem, to nazwisko *Fajdutti* będzie zawsze zapowiedzią możliwości zgodnego układu stosunków wzajemnych.

Kun.

List do Redakcji.

Szanowny Panie Redaktorze.

Proszę uprzejmie o umieszczenie w poczytnym piśmie Pana listu treści następującej.

W prasie wileńskiej niejednokrotnie poruszany jest temat dotyczący organizacji Cerkwi prawosławnej, przyczem w zależności od kierunku politycznego pisma, temat ten bywa rozwiązywany rozmaicie. Jednak, po większej części rozpatrywano kwestję pod kątem widzenia politycznego.

Uważając podobne traktowanie sprawy za szkodliwe dla Cerkwi z jednej strony, a dla kraju naszego — z drugiej, chciałbym spojrzeć na nią nie z punktu widzenia politycznego, lecz religijnego. Jest to jedynie racjonalne ujęcie zagadnienia dla tych, kto nie chce, aby Cerkiew była narzędziem walki politycznej.

Samodzierżawie i wyłączność narodowa — takie były hasła naczelną Cerkwi prawosławnej za czasów caratu. Innymi słowy podporządkowana była ona interesom absolutystycznego

ustroju oraz narodowości rosyjskiej. Wynikiem tego było wykluczenie zasady soborności w Cerkwi z jednej strony, a jej rusyfikacja — z drugiej.

Cóż widzimy obecnie?

Z jednej strony kler prawosławny przesiąknięty duchem rosyjskiego caryzmu zasadniczo w dalszym ciągu prowadzi Cerkiew prawosławną w tym samym kierunku, przystosowawszy się do społecznych warunków. Kler zmusza Cerkiew do służenia albo interesom państwowym, albo interesom tej lub innej narodowości w zależności od tego, do jakiej narodowości kler ów należy. Nie mając pewności, jakie skutki polityczne pociągnąć może za sobą ustrój soborny Cerkwi, kler wszelkimi środkami przeszkadza jego urzeczywistnieniu. Idąc po tej drodze duchowieństwo nie zatrzymuje się nawet przed pogwałceniem przepisów kanonicznych Cerkwi, narusza główną jej zasadę, iż Cerkiew stanowi zespół jej wyznawców.

Z drugiej strony zaś te lub inne ugrupowania polityczne, ci lub inni działacze polityczni zmuszają Cerkiew do służenia swoim celom politycznym i narodowym. A ponieważ i oni nie są pewni rezultatu, w razie realizacji zasady soborności Cerkwi, więc również niezbyt gorąco biorą ją do serca. Wygodniej jest dla nich działać w warunkach obecnego ustroju cerkwi: protestować przeciw postępowaniu obecnej władzy cerkiewnej, lub z władzą tą współdziałać. Nie interesuje ich wcale pytanie, czy w ogóle prawny jest pod względem kanonicznym obecny ustrój Cerkwi, czy nie; czy w ogóle prawną jest władza cerkiewna pod względem kanonicznym.

Widzimy więc, iż w gruncie rzeczy nic się nie zmieniło w ustroju cerkiewnym. Zasady synodalnej rosyjskiej Cerkwi prawosławnej triumfują.

W tym stanie rzeczy wysunięte zostały żądania białorusyfikacji i ukrajinizacji Cerkwi prawosławnej. Słuszne w zasadzie żądania w obecnych warunkach są całkowicie nierealne.

O jakiej faktycznej białorusyfikacji i ukrajinizacji może być mowa, gdy ludność, t. j. sama Cerkiew, nie ma głosu?

Mojem zdaniem ten, komu rzeczywiście są drogie interesy Cerkwi, przedewszystkiem powinien dążyć do ustalenia ustroju Cerkwi, umożliwiającego samej ludności wypowiedzenie swoich żądań, decydowania o losach Cerkwi. Jedyną drogą do tego jest soborność. A wtedy automatycznie zostaną zaspokojone potrzeby narodowe mas białoruskich i ukraińskich.

Widzimy więc, iż wychodząc z założeń czysto religijnych, dochodzimy jednocześnie do pożądanego celu nie tylko cerkiewnych, lecz również do celów politycznych.

Proszę przyjąć etc.

Józef Lipski.

Bibliografia.

Łubieński Henryk Ignacy. *Droga na wschód Rzymu*. Warszawa 1932.

Omawiając zagadnienie obrządku wschodnio-słowiańskiego, którego jest przeciwnikiem zdecydowanym, autor nie przytacza nowych argumentów, streszcza się i powołuje przeważnie na opinie, dostatecznie już nam znane, a więc na memoriał ziemian słonimskich, p. p. Charkiewicza, Romana Skirmunta, Piotrowicza, ks. Lubiańca i t. d.

Nie będziemy polemizowali tedy z wywodami p. Łubieńskiego, gdyż musielibyśmy powtarzać to wszystko, co już niejednokrotnie pisaliśmy w tej materji, krytykując cytowane przezeń głosy. Myli się grubo jednakże autor przypuszczając, że alarm wszczęty z powodu akcji unijnej przez pewne jednostki i grupy jest wyrazem stanowiska, zajmowanego solidarnie przez ogół ludności katolickiej, a nawet polskiej na ziemiach białoruskich i ukraińskich. Niechęć do obrządku wschodniego cechuje wyłącznie wyznawców zasady, że katolicyzm a polskość to jedno, czyli uprawiania polityki nacjonalistycznej w Kościele.

Autor omawianej broszury również, chociaż

usiłuje występować w charakterze bezstronnego referenta, kładzie nacisk na szkodliwość propagandy obrządku wschodniego dla interesów narodowych polskich, względnie interesów państwowości polskiej, czyli t. zw. polskiej racji stanu. Interes zaś Kościoła katolickiego schodzi u niego mimowoli na plan drugi.

Podkreślić należy wyraźną niekonsekwencję w rozumowaniu p. Łubieńskiego, od której zresztą nie są wolni wszyscy publicyści, zwalczający akcję unijną. Twierdzą oni mianowicie, że nawracanie ludności prawosławnej nie wykazuje głębszych postępów i natrafia na wielkie trudności. „Zaczem nam wierit' w dalekiego i nienużnego Papu?” — oto pytanie, z którym podobno zwracają się słuchacze po przemówieniu unickiego misjonarza. Bardzo to możliwe, lecz wobec takiego nastawienia ludności prawosławnej, jakże można rachować na powodzenie akcji misyjnej w obrządku łacińskim, którą tak gorąco zalecają przeciwnicy obrządku wschodniego? Jedyne logiczne wnioski z ich przesłanek nasuwa się taki: należy zaniechać wszelkich prób szerzenia katolicyzmu wśród prawosławnych. Ale wniosek taki pozostawałby w sprzeczności z nakazami Kościoła, nie mają więc odwagi wygłaszania tego rodzaju konkluzji i wskutek tego płaczą się w niekonsekwencjach.

Nieporozumieniem zaś całkowitem wypadła nazwać twierdzenie autora, niejednokrotnie napotykane w broszurze a dobitnie sformułowane na str. 125: „Można i należy wybrać drogę obrządku łacińskiego, dłuższą, mniej efektywną, ale zato wiodącą do Unji pewnie i bez obawy odwrotu”. Jaką „unję” ma na myśli p. Łubieński? Skoro zaleca akcję misyjną w obrządku łacińskim, to celem jej będzie nie zjednoczenie Kościołów, lecz nawrócenie prawosławnych na wiarę rzymsko-katolicką. Oczywiście zagadnienie w tej formie jest znacznie prostsze, ale nie ma ono nic wspólnego z koncepcją unji. Sama nazwa unji czy zjednoczenia Kościołów wskazuje, że chodzi o znalezienie formuły kompromisowej między Wschodem i Zachodem, a nie o zwyczajną supremację Rzymu. Napewno Watykan nie łamałby sobie głowy nad szukaniem drogi porozumienia, gdyby czuł się na siłach i wierzył w możliwość ugruntowania swych wpływów bezpośrednich w świecie prawosławnym.

Skoro mowa o unji, dyskusja może toczyć się jedynie na temat, czy bardziej jest racjonalny obrządek wschodnio-słowiański, czy grecko-katolicki, czy też może jeszcze jakiś inny, nieznan, wymagający dopiero opracowania. Ale to już są kwestje specjalne, niedostępne dla laików.

a.

Wydawnictwo T-wa Pomocy Naukowej im. Wróblewskich
J. GOŁĄBEK

„WINCENY DUNIN-MARCINKIEWICZ”

Poeta polsko-białoruski

Cena 5 zł.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa.

